

”*Zagrałem
ostatnie spektakle,
przyszły wakacje
i jako wolny strzelec
zostałem z niczym*

– ŚMIEJE SIĘ AKTOR DAWID RAFALSKI,
CHOĆ WYGLĄDA, JAKBY MIAŁ SIĘ ROZPŁAKAĆ



ARTYSTA SZUKA PRACY

Sztuka przeżycia

Po szkole artystycznej człowiek uważa, że sam jest dziełem sztuki – mówi malarka Małgosia Malinowska. – A potem mu życie codzienne puka do drzwi w postaci rachunków do zapłacenia. **I co wtedy?**

TEKST DAWID KARPIUK ZDJĘCIA ADAM TUCHLIŃSKI



”Trochę popracuję, trochę zarobię, a jak wracam do domu, to znów jestem cały dla sztuki

– MÓWI ASYSTENT REŻYSERA
RADEK MIRSKI, KTÓRY WŁAŚNIE KOŃCZY
PISAĆ KSIĄŻKĘ

Noc, pusta podwarszawska droga. Kilka miesięcy po ważnej roli w nagradzanym spektaklu, z rolami w dwóch reklamach, ze stypendium ministerialnym, które się właśnie skończyło, Dawid Rafalski, aktor o chłopięcej twarzy romantyka, a po godzinach kierowca Ubera, jedzie po klienta. Nagle drogę zastępują mu cztery dziki. Wielkie, tłuste i włochate. Stoją i patrzą na niego, jakby chciały coś powiedzieć. Aktor po chwili zaczyna się śmiać, mówi do siebie: „Rafalski, co ty robisz ze swoim życiem?”.

Radek Mirski wcina loda, przygląda się ludziom oblegającym wielkie stanowisko Lody Melody i myśli, że zwyczajna robota to dla artysty jakiś cud. W lenonkach na nosie, ze świeżo położoną blond farbą na włosach, w zielonej koszulce i szortach wygląda jak spełnienie marzeń hipstera.

W tej lodziarni w Nocnym Markcie, hipsterskim targu w Warszawie, jest kimś w rodzaju naganiacza i konferansjera. Jak się pojawia, utarg rośnie. – Może lodzika w bąbel waflu? – zachęca klientów. Bąbel waflu to w tym roku hit.

Przez ostatnie trzy lata Mirski jako asystent pracował z czołówką polskich reżyserów teatralnych, m.in. z Natalią Korczakowską, Magdą Szpecht i Krzysztofem Garbaczewskim. Teraz czuje, że bąbel waflu zbliżają go do ludzi. Uważa, że artyści w tak zwanej normalnej pracy to skarb. – Świeże spojrzenie, wrażliwość, odwaga – wylicza. No i artysta bawi się pracą.

Właściciel lodziarni twierdzi, że Mirski ma magic touch. – Kiedy otwierali ogródki na lato, jeden z nich zrobiłem ze scenografii teatralnej, wziąłem sztuczne drzewko z Powszechnego, w którym



”Wychodzisz ze studiów z masą dość nieszczęśliwych przekonań. Chciałbyś to jakoś przekuć w tak zwaną codzienność, ale nie wiesz jak

– OPOWIADA MALARKA MAŁGOSIA MALINOWSKA

robiliśmy niedawno „Chłopów”. W drugim postawiłem epoksydową Wenus z Milo – opowiada.

Mirski właśnie kończy pisać książkę. – A skończę ją między innymi dlatego, że zamiast zostawiać serce w teatrze, robię przy bąbel wafłach – mówi. – Trochę popracuję, trochę zarobię, a jak wracam do domu, to znów jestem cały dla sztuki.

Zaraz po (skończonych z wyróżnieniem) studiach w warszawskiej ASP malarka Małgosia Malinowska pojechała do Londynu. Nauczyć się czegoś praktycznego, bo w akademii

przez pięć lat coś tam sobie skrobała, zgłębiała, przeglądała, a przede wszystkim tworzyła i rozwijała się jako artystka i intelektualistka. To było – przyznaje ze śmiechem – cudowne. A jak ktoś pytał, co będzie robić po studiach, odpowiadała, że nie wie. – Po ASP możesz być każdym – tłumaczy teatralnie Malinowska. – Malarzem, designerem, intelektualistą. Bardzo byś chciał podbić świat, masz w głowie, że jesteś artystą, filozofem, myślicielem, dziełem sztuki samym w sobie. Krótko mówiąc: wychodzisz ze studiów z masą dość nieszczęśliwych przekonań. Chciałbyś to jakoś

przekuć w tak zwaną codzienność, ale nie wiesz jak.

W Londynie poszła na zajęcia z designu, a po godzinach dorabiała w restauracji. – Traktowałam tę pracę jak performance. Tak mnie to wciągnęło, że w ogóle mi się nie chciało wstawać na zajęcia – opowiada.

Restauracja była modna i droga. Właściciele na kelnerów brali samych artystów: młodych aktorów, projektantów, malarzy i poetów. – A klienci – zachwyca się Malinowska – samo high society. Myśmy tam nie dojadali, bo nikt nie miał kasy, zżeraliśmy resztki po klientach.

Klienci ją uwielbiali. Zagadywała, uśmiechała się. – Grałam tam ekscentryczną artystkę, opowiadałam klientom, że taka jestem niewyspana, bo pracuję nad serią obrazów o Holokauście i do rana oglądałam dokument o Auschwitz. Interesowali się moimi obrazami, więc spytałam menedżera, czy mogę im dać moje wizytówki. Był zachwycony, bo sobie wymyślił, że to dobrze knajpie zrobi na wizerunek. Jakiś czas później przybiega do mnie przerażony i pyta: „Małgosia, czemu ty rozdajesz swoje nagie zdjęcia?”. Mówię, że to nie żadne nagie zdjęcia, tylko moje obrazy, bo na tych wizytówkach miałam swój autoportret. No rzeczywiście byłam na nim naga.

W knajpie popracowała przez pół roku. Kiedy ją wyrzucali, menedżer powiedział, że nie było chemii.

Jakiś czas później Malinowska pojechała na stypendium do Nowego Jorku. W szkole się nią zachwycali. Próbowала dorabiać jako opiekunka do dzieci, ale po czterech dniach ją wywalili. Wylądowała na ulicy, gdyby nie przemiła i trochę zwariowana pani z Upper East Side, chórzystka i zaangażowana chrześcijanka, której nie mieściło się w głowie, że Nowy Jork mógł tak źle potraktować młodą artystkę z Polski. Tej samej Polski, w której naziści urządzili Holokaust.

– Mieszkałam u niej przez rok – opowiada Malinowska. – Malowałam i sprzedawałam obrazy. W każdy czwartek odwiedzali ją ludzie z kościelnego chóru. Pili koniaczek i gadali o Jezusie. W Nowym Jorku każdy żyje w jakiejś fantazji. Wdałam się w płomienny romans z jednym szurniętym izraelskim chirurgiem, którego matka była z Wołomina. Był o 36 lat starszy ode mnie, walczył w dwóch izraelskich wojnach, miał gabinet na 5th Avenue i rozbijał się starym porsche, bo udawał przed swoimi znajomymi człowieka sukcesu. Ja miałam fantazję, że to będzie wielka miłość i to będzie mój Polański, tylko że on nie był żaden Polański, ale stary dziad. W końcu mu wyciągnęli, że od lat nie płaci podatków, musiał sprzedać tego porszaka i uciekać do Teksasu. Ale ci jego bogaci znajomi byli mną zachwyceni. Malarka! Żydówka z Polski! Chę-

nie kupowali obrazy. Za dwa, trzy, cztery tysiące dolarów.

Malinowska ma tak, że jak sobie wymyśli jakąś fantazję, to ona się zwykle spełnia. W związku z tym od lat obiecuje sobie przeczytać biografie sławnych milionerów, żeby wreszcie się kiedyś ukierunkować na pieniądze. Ale na razie fantazjuje o nowym cyklu obrazów: Jung, archetypy, nieświadomość. Pieniądze znów muszą poczekać.

Dawid Rafalski jeździł dla Ubera tylko kilka miesięcy. W tym roku mija 10 lat jego pracy w zawodzie aktora. Grał w teatrach dużych i małych, główne role i epizody, jeździł na festiwale i grał w reklamach. W 867. odcinku „Barw szczęścia” był stylistą Szczepanem, a w „Klanie” złodziejem, który ukradł keyboard Maciusia. Pracował w seks SMS-ach i jako wróżka.

Ma długi na równe 95 tysięcy złotych, ostatnio, żeby zapłacić czynsz za mieszkanie, kupił telewizor na raty i sprzedał go na Allegro.

– Tydzień temu skończyłem sezon. Zagrałem ostatnie spektakle, przyszedł wakacje i jako wolny strzelec zostałem z niczym – śmieje się, choć wygląda, jakby miał się rozpłakać. Przyjaciel Rafalskiego, też aktor, postanowił sobie zrobić przerwę od aktorstwa i pojechał do Irlandii pracować w pensjonacie. I dobrze zrobił, dzwonił ostatnio, pytał Rafalskiego, czy nie potrzebuje pożyczyc parę groszy.

Spektakl warszawskiego Teatru Powszechnego „Každy dostanie to, w co wierzy” w reżyserii Wiktora Rubina, w którym Rafalski gra dużą rolę, zebrał sporo nagród, ostatnio na festiwalu Kontrapunkt. Pieniędźmi z nagrody podzielili się równo. Wyszło po 370 złotych na głowę. W tym spektaklu Rafalski opowiada m.in. o swoich finansowych problemach. W którymś momencie zdejmując z głowy czapkę i wchodzi z nią w publiczność. Czasem ktoś wrzuci pieniądze, a czasem wizytówkę. Jeden bogaty facet powiedział, że jeśli Rafalski chce, może mu skosić trawnik za uczciwą rynkową stawkę. – Inny powiedział, że on do czapki nie wrzuci, a jak mi nie starcza

z teatru, to żebym zmienił pracę – opowiada Rafalski. – Ja wtedy zaniemówiłem na parę sekund i pomyślałem: „On ma rację!”.

Ostatnio Rafalski zagrał główną rolę w „Dziecięciu Starego Miasta” w Teatrze WARSawy. Premiera się udała, była radość i satysfakcja. Ale przez to, że przygotowywał się do roli, nie chodził na castingi. A na jednej reklamie można zarobić tyle, ile przez trzy miesiące roboty w teatrze. Kręci się ją jeden dzień.

Znajomi mówią mu, żeby poszedł pracować do knajpy, ale z knajpą jest ten problem, że tam się czasem nosi zupę. A Rafalski ma z zupą traumę, odkąd w czasach licealnych dorabiał w rodzinnej restauracji. Drugie danie: luz, poniesie nawet cztery talerze naraz. Ale lęk przed noszeniem zupy jest zbyt silny – knajpa odpada.

Tymczasem w agencji aktorskiej mówi Rafalskiemu, żeby nie brał epizodów, tylko czekał na dużą rolę. Bo jak bierzesz epizody, to poważny reżyser może cię nie chcieć. Logiczne? Logiczne, w związku z tym przez półtora roku Rafalski był tylko na dwóch castingach, w tym raz do roli bandziora – porywacza kobiet. Znajomi mieli z tego śmiech przez łzy, bo Rafalski nadaje się na każdego, tylko nie na bandziora. Niemniej w swoją kwestię na castingu włożył całe serce. Brzmiała tak: „Ty ku...! Dałaś się nabrać na wycieczkę do Berlina, wywożę cię na Bliski Wschód, tam mi sporo za ciebie zapłacą”. Rafalski zagrał, a potem zapadła cisza. W końcu ktoś powiedział: „Jeszcze raz, tylko trochę mniej romantycznie”.

– Ludzie mnie pytają, czemu to jeszcze robię, tyle jest innych rzeczy – opowiada. – Ale wiesz, ja siedzę w domu i się zamartwiam, bo nie mam kasy; boję się nieznanym numerów, bo to może być bank, komornik albo właścicielka mieszkania. Wychodzę z domu zgarbiony ze zgryzoty, nic tylko kombinuję, co tu zrobić. Jak po drodze do teatru rosnę. Im bliżej jestem sceny, tym bardziej się prostuję, tym szybszym krokiem idę. Wchodzę do teatru i nagle ja, Dawid Rafalski, jestem innym człowiekiem. Szczęśliwym. **N**

dawid.karpiuk@newsweek.pl